

Wstęp

Przez całe lata kodowały się w mojej pamięci obrazki różnych ciekawych miejsc na świecie: wielki czerwony monolit w środku pustynnego wnętrza Australii, gejzery, fumarole, gorące błota zielonej Nowej Zelandii...

Kiedyś to zobaczę...

Czas szybko leci, na mojej drodze do spełnienia tego postanowienia ciągle pojawiały się jakieś przeszkody, głównie czasowe. Problem braku czasu mogła rozwiązać tylko emerytura.

W dniu uzyskania statutu emerytki ustalam trasę, wyznaczam datę podróży. Parę dni później kupuję bilet lotniczy Round the World – czyli dookoła świata: Londyn – Lima – Quito – Santiago de Chile – Nowa Zelandia – Australia – Singapur – Londyn.

Ahoj, przygodo! Moja podróż będzie trwała 100 dni, podróż po Nowej Zelandii – 31 dni.

(...)

21 kwietnia, poniedziałek

Na dzisiaj mam zaplanowany całodzienny „spacerek” po górach, szlak zaczyna się tuż przy moim schronisku. Mam zamiar okrążyć Queenstown szlakami górskimi, kierując się na Arthur’s Point, i wrócić do miasta od strony Arrowtown.



Po przejściu lasu rozciągającego się w niższych partiach gór z każdym krokiem odsłania się wspanialszy widok na jezioro Wakatipu, nad którym rozłożyło się Queenstown, z każdym krokiem domy miasta stają się coraz mniejszymi klockami. Najpierw mija mnie para turystów, potem jeszcze jeden. Ostatni. To Szwajcar, z którym chwilę rozmawiam. Nie widzi większej różnicy między górami, w których jesteśmy, a górami Szwajcarii. W końcu i to Alpy, i to Alpy...

Wszyscy troje zdążają na Ben Lomond (1748 m n.p.m.), najwyższy ze szczytów wznoszących się nad Queenstown. Zaczynam mieć wątpliwości, czy dobrze zrobiłam, wybierając taką „okrężną” trasę... Ale widok z przełęczy pod szczytem jest wystarczająco piękny, ze szczytu położonego jakieś sto czy nawet dwieście metrów wyżej nie będzie już dużo piękniejszy, a musiałabym wracać tą samą drogą... Nie, kontynuuję przejście zgodnie z wcześniej założonym planem.

Szlak wiedzie trawersem zbocza góry Bowen, terenem prywatnym, o czym informują tablice na przełęczy. Pasące się na ścieżce stado owiec jest bardziej przestraszone moim widokiem niż ja ich i pokornie rozstępuje się, umożliwiając mi przejście, co przyjmuję z dużą ulgą. Kiedyś na łące w Yorkshire w Anglii jednego tylko barana musiałam obejść szerokim, oj, bardzo szerokim, łukiem. Był wielki, groźnie wyglądał i nie miał najmniejszego zamiaru ustępować ścieżki zakłócającej jego spokój istocie ludzkiej!

Szlak jest coraz słabiej oznaczony, coraz mniej wygodny, trawers coraz bardziej stromy... Mam wrażenie, że na końcu ścieżki, którą pokonuję (o ile to „coś” można jeszcze nazwać ścieżką!), jest przepaść. Czy to w ogóle jeszcze jest szlak?! Od ponad trzech godzin nie widziałam ani człowieka, ani „kawałka” chaty czy schroniska, ani też innego śladu życia. O, przepraszam, owce to jednak istoty żywe.

Minęła piętnasta, bliżej końca dnia niż jego początku. Kończy mi się woda, apetyt też mi dopisywał...

Siadam i analizuję sytuację. Dookoła mnie ocean gór. Czy jeszcze widać paliki wyznaczające szlak? Ostatni, który minęłam, mający gdzieś daleko w górze, ale nie będę się do niego ponownie wspinała, a następny? Nie widzę... Jest, jakieś ponad sto pięćdziesiąt metrów w dole. Dzieli mnie od niego prawie pionowy stok góry. Tak jak przypuszczałam, zgubiłam szlak. Pomału, krok po kroku lub raczej ślizg po ślizgu, podtrzymując się kęp trawy, docieram w końcu do ścieżki. Daleko, ale to bardzo daleko w dole widzę drogę, a na niej kilku rowerzystów. To jednak bywają tu jacyś ludzie...

Mój szlak nie prowadzi jednak tam, gdzie gromadzą się rowerzyści. Odbija w prawo i przejście nim trwa dalsze półtorej godziny, zanim daleko między górami widzę zabudowania

Arrowtown, miasta, które swoje powstanie i rozwój zawdzięcza złotu, ale to już inna historia. Oddycham z ulgą...

Wędruję teraz wzdłuż głębokiego i stromego, ale szerokiego wąwozu. Z jego drugiej strony, daleko poza krawędź, wystaje dziwna konstrukcja, rodzaj platformy widokowej zwieszanej nad urwiskiem. Jak się domyślam, to dla tych, którym marzy się pewna dawka adrenaliny, a są zbyt leniwi, żeby się wybrać w góry.



Bardzo zmęczona docieram do zaczynających się chować w zapadającym mroku przedmieść Queenstown. Bojąc się, że pójde w niewłaściwym kierunku, wchodzę do miejscowej knajpy z pytaniem o drogę. Dwóch wątpliwej trzeźwości jegomościów, jedynych obecnych (a gdzie jakiś barman?), chętnie mnie informuje. W jakim stopniu jest to trzeźwa informacja? Chwilę później okazuje się, że jednak wiedzieli, co gdzie jest. Drogowskaz wskazuje kierunek Queenstown. Ale... po drodze muszę jeszcze pokonać plac budowy. Właśnie remontują odcinek drogi, którą przyszło mi przemierzyć, i nie przewidzieli przejścia dla pieszych, tylko przejazd dla samochodów. No bo i któż wybierałby się na piechotę z Arrowtown do Queenstown?!

Nie minęło następne pół godziny, a już jestem w schronisku. Teraz dopiero odczuwam potworne zmęczenie. Dobrze, że jutro większość dnia spędzę w autobusie. Nie za dobrze, że nie zdążyłam załatwić żadnego noclegu w Te Anau, gdzie zamierzam spędzić kolejne dwie noce.